

11/687

© ARCHIWUM WSKRZONIENIE

CZESŁAW KOCHANSKI

WSPOMNIENIA Z SYBERII.
KARASJ.

Tekst kilku listów z okresu maj-
lipiec 1989 uporządkował, opatrzył
komentarzem i mapkami
dr Czesław Bazan

Wrocław

Listopad 1990.

© ARCHIWUM WSKRZONIENIE

1. Deportacja.

Mieszkaliśmy do 1941 r. w Pokaniewie, gmina Milejczyce, woj. Białostockie. Wieś Pokaniewo jest oddalona od Milejczyc o 7 km na zachód, przy szosie Milejczyce-Mielatycze przez Hornowo. Jest wieś Pokaniewo i kolonia Pokaniewo; my mieszkaliśmy na kolonii, białej wsi. Rodzice pracowali tu na własnym gospodarstwie.

Wywieziono nas stąd dwa dni przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej. W nocy z czwartku na piątek /s 19 na 20 czerwca 1941 r/ przyjechali do nas enkawudziści. Ostrzymaliśmy rozkaz, aby się pakować i wyjeżdżać.

Po nas przyjechała względnie "zaskawa" ekipa enkawudziatów. Pozwolili nam zabrać z domu wszystko. Popędzano tylko Matkę kilkakrotnie, aby przyspieszyć się zbierała, ale moja Matka nie traciła złanej krwi /to cecha jej charakteru/ i pakowała wszystko, to znaczy ubrania, pościel, żywność - do worków. Zabrała tłuszcz z całego wieprza, cały wyśiek chleba /a było to przed odgustem/. Później, na Sybirze, dawano to "sako" /szonina/ poproszować swoich znajomych kolegów. Dni tego nie wiadomości; "Czco sto sako? Daj poproszować" - prosili. Nie pamiętam, ile Matka zabrała tych worków, ale wiem, że było tego sporo; spaliśmy na tych workach w wagonie.

Zabrali nas wszystkich z domu, a więc rodziców: Władysława Kochańskiego /ur. 1903/, Marię /ur. 1907/, oraz dzieci: Mariannę /ur. 1927/, Alicję - ur. 1929, i Zbigniewa /ur. 1938/. Zabrali również babcię Julię Walczuk, urodzoną około r. 1890, która z nami stale nie mieszkała; przyjechała do nas tylko z okazji obchodzącego się odgustu na Serce Pana Jezusa. Nie było tłumaczenia - zabrali i ją. Zakładowaliśmy się na nasz własny wóz, i ruszyliśmy w drogę, oczywiście pod eskortą.

Dojechaliśmy do stacji Kleszczale, i tu zaczęła się zakładanie do towarowych wagonów; trwało to cały dzień. Wieczorem zabrano z wagonów do więzienia sześciu mężczyzn, w tym mojego Ojca. Odbyło się to w ten sposób, że na stacji jeden z enkawudziatów wywoływał nazwiska tych mężczyzn. Wywołanych zabrali rzekomo w celu unieszkodliwienia jakichś danych. Nie wiem, ilu zabrano wszystkich z całego transportu; sześciu wywieziono Matka. Jak się potem dowiedzieliśmy, osadzono ich w więzieniu w Urzędzie nad Bugiem.

W "naszym" wagonie pojeżdżano 63 osoby. Oprócz nas było tam rodzina znajomych, Boruskich, z Pokaniewa /5 osób/, pięć osobowa rodzina Urbaników z Kleszczal, i inni. Byłoby 63 o-

sób w wagonie- zapamiętałem, gdyż wielokrotnie wspominała o niej Matka.

Wagon, w którym znaleźliśmy się, to był zwykły kryty wagon towarowy, w którym w obu kołach były zamocowane legowiska /pryce/, po dwa na wysokość. Środek wagonu był wolny. Na pryczach roznieściły się kobiety z małymi dziećmi. Znalazła tam też miejsce moja Babcia z młodszym bratem Zbigniewem. Ja ze starszym bratem spaliśmy na workach z rzeczami; wszyscy młodzi tak spali.

Wreszcie wagon zamknęto i ruszyliśmy w nieznaną, bez wody, w niesamowitej ciasnocie i zaduchu. Dla załatwienia potrzeb naturalnych przeznaczona była dziura, wycięta w podłodze wagonu.

Dojechaliśmy do Hajnowki, i tam znowu był postój, bo dowożono i kadowano ludzi z Czeremchy. Pamiętam, że z Czeremchy był pan Paszkowski z dwoma synami.

Z powodu ciągłego zatrzymywania się i doładowywania ludzi na stacjach, pierwszą dobę jechaliśmy powoli. 22 czerwca dotarliśmy do Wołkowyska, i tam znowu pociąg zatrzymano. Jak się okazało, w wyniku bombardowania przez Niemców zostały uszkodzone tory. Dobę staliśmy, zanim je naprawiono. W ten sposób dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej.

Następne trzy doby pociąg pędził bez postojów. Wszyscy jego nieszczęśliwi "pasażerowie" cierpieli bez wody i jedzenia; dzieci nieustannie jęczały i mdlały. Do piero po trzech dobach pociąg zatrzymano i otrzymaliśmy upragnioną wodę!

Już bez większej udręki dojechaliśmy po dwu tygodniach do Nowosybirska, gdzie przeładowano nas na statek do Tomka. Nazwy tego parostatku nie pamiętam; brat mój mówi, że w nazwie był "d" "miękki znak" na końcu.

Z Tomka kutrami dopłynęliśmy do osiedla Narym. Byliśmy tam tylko tydzień, a potem łodziami przetransportowano nas do kołchozu we wsi Karasi.

Nie mogę określić, ile osób dotarło do Narymu, ale chyba parę setek. W 1943 r. wzięto do wojska z samego Narymu 72 osoby /taką liczbę podała mi Henryk Domański/, a przecież rozwożono też ludzi i do innych miejscowości. W Narymie przebywali wspomniani pp. Aleksander i Marcelina Domanscy z Pokaniewa, z czworgiem dorastających dzieci. Oni mogą dużo powiedzieć o Narymie.

2. K a r a s i .

Wioska Karasi znajdowała się między rzekami Ob i Ket, w odległości 25 km od Parabeli i 30 km od Narymu. Do rzeki Ket dojeżdżało się łódkami, chyba jedną z małych dopływów tej rzeki.

Do Obu szło się piechotą około 2 - 3 km. Wieś położona była na wzniesieniu. W czasie roztopów woda nie podchodziła do wioski, więc domy nie były na palach, jak np. w Narymie. Elektryczności w Karasiach, jak i w wielu innych okolicznych wioskach, nie było.

W Karasiach rozmieszczono nas, a właściwie poutykano po jednej rodzinie, do nędznych chałup kołchozników. Mieszkaliśmy początkowo w chałupie, która miała jedną izbę z dużym, ruskim piecem, i która była przegrodzona przepierzeniem. Chałupa ta, jak i wszystkie inne w Karasiach, była zbudowana z okrągłych bali. Do środka wchodziło się przez dobudowane sionki. Chałupy te pobudowane były jeszcze przez carskich zesłańców.

Jak wspominałem, rodzina Domańskich została w posiołku pod Narymem. Ojciec rodziny, Aleksander, w swoich wędrownych po okolicznych wsiach zachodził i do Karasi. Matka moja przechowywała dla nich ziemniaki, tak że dwa-trzy wiadra. Po te zapasy przychodził ich syn, Stanisław Domański. To były nasze jedyne kontakty, związane ze zdobyciem najprostszych artykułów żywnościowych.

Po jakimś czasie zmieniono nam kwatery, ale też dokwaterowano do innej rodziny. Tymczasem matka chciała mieć jednak samo-dzielne mieszkanie. Przy nadarzającej się okazji kupiła więc chałupę. Ile kosztowała ta chałupa - nie pamiętam; wiem tylko, że niedużo, gdyż chętnych na kupno chałup nie było.

Ziemiaków w Karasiach nie widzieliśmy.

Wszyscy mieszkańcy tej wioski, to byli ludzie zesłani przez władzę sowiecką. Byli wśród nich Łotysze, Rumuni, Niemcy z nad Wołgi... Z Polaków pamiętam następujące rodziny:

- Siemaszko - matka z trojgiem, a może czwórką dzieci;
- Cylwik - matka z czworgiem dzieci, wywieziona z Białostockiego;
- Urbaniak - matka z pięciorgiem dzieci; ska.
- Urbaniak Zygmunt - samotny młody chłopak; poszedł potem do woj-
- Urbaniak Józef z żoną; oboje zmarli na Syberii;
- Korzeniewscy: matka, dwie dorosłe czy prawie dorosłe córki, synowa z małym dzieckiem. W sumie cztery kobiety i jedno lub dwa-je dzieci.

Brat mój uważa, że w Karasiach było około 60 polskich zesłańców, co stanowiło chyba jedną czwartą wszystkich mieszkańców wioski. Polscy zesłańcy byli również w pobliskiej wsi Smożokury, oddalonej od Karasi o 3 km, a położonej bliżej Obu. Pamiętam tam p. Tyburską z dzieckiem, żonę oficera. Do tej wsi chodziliśmy z matką kupować ziemniaki. Niestety, zapomniałem wielu nazwisk, a matka moja już nie żyje - na pewno więcej by pamiętała.

Wkrótce po przyjeździe matka przymusowo podpisała listę, przywiezioną przez funkcjonariusza NKWD, że przyjechała tu dobrowolnie

na 25 lat!

Pracowaliśmy wszyscy w kolchozie za "pajok" /przydziałową porcję/ chleba. Matka przeważnie była zatrudniona w pracach polowych, tam gdzie ja "prezesa" posłałem do pracy. My obaj z bratem - w wieku 12 i 14 lat - pasiliśmy bydło, oraz pomagaliśmy przy udoju krów i przy karmieniu cieląt.

Na Syberii doznaliśmy tego co wszyscy: wiecznego, sciskającego boleśnie kłódek- głodu, zimna, pękających i dotkliwych ukąszeń wszy, pluskiew, komarów i meszki.

Najważniejszą sprawą było jedzenie, a właściwie chleb i kartofle. Pamiętam, że wszystkie przywiezione rzeczy Matka powoli wymieniała na kartofle i mąkę. Cena każdej rzeczy - to tyle i tyle wiader "kartoszek". Matka handlowała tak "po cichu" z żoną przewodniczącego kółka, albo z żoną brygadzysty. Przy transakcjach obowiązywała tajemnica. Futro Ojca zostało sprzedane w Smożoku - razem za "x" wiader kartofli; ile - nie wiem - mimo, że byłem tam wtedy z Matką.

Nie wiem na pewno, ale być może, że Matka mogła mieć jeszcze pieniądze /ruble/ przywiezione z Polski, zeoszczędzone w latach 1940-41.

Ponieważ, jak wspomnieliśmy, zabraliśmy ze sobą dobytku tyle, ile się dało, przez jakiś czas na pewno łatwiej było Matee nas nakarmić, chociaż nie uchroniło nas to z czasem przed głodem. Kartofli całych, gotowanych "na sucho" nie jedliśmy, tylko tarte na tarce, w zupie. Jeśli kogoś w domu w porze obiadowej nie było, to nikt nie zaczynał jeść zupy, bo nie zostałoby dla osoby nieobecnej.

Podczas wykopków ziemniaków, Matka przynosiła pod pierściami po dwa ziemniaki /niaka wysoki biust/. Zupa była wtedy gęściejsza, ale skutek tego był tragiczny. Wskutek przeziębienia, Matka dostała wrzody na piersiach.

Te obrazki z życia codziennego pamiętam do dziś.

W obronie przed meszką nosiliśmy na twarzach siatki nasyczone - dziegciem; natomiast przy dojeniu krów niektórzy kółkownicy palili wysuszone kłójno krowie, gdyż dyn odpędzał komary.

W 1942 r. zmarła w Barasjach nasza Babcia. Złożono jej zwłoki w grobie wykąty w wiarzniętej ziemi. Pamiętam, że moja Matka była dumna z tego, że Babcie pochowała w podczochach, a nie z bosymi nogami - jak tam grzebano wszystkich zmarłych.

Po układowach z Generałem Sikorskim, enkawudziści przyjechali do nas ponownie, abyśmy podpisali listę, że jesteśmy "wolny człowiek" /wolni ludzie/. Wówczas Matka podjęła sama decyzję, że musimy wyjechać do Nowosybirsku. Na koszt związane z podróżą

sprzedziała chałupę, którą przeltem kupiła za jakieś kosztowności.

3. W y j e z d .

Tak więc na własny koszt wyruszyliśmy do Nowosybirsku. Nie wiem, kiedy wyjechaliśmy z Karasi- może w 1942 r., a może w 1943 roku? Nie mieliśmy tam żadnych środków informacji w postaci radia czy gazet, i czas płynął tu tylko wedle ziemnych pór roku.

Po rozważeniu wszystkich okoliczności uważam, że wyjechaliśmy z Karasi do Parabieli w lecie 1943 r. Pamiętam, że pokyneliśmy dużą łodzią, "niewodnikiem" koczozowym, na który nas zebrano ponieważ ktoś z kierownictwa koczozu miał sprawę do załatwienia w Parabielu. Była to podróż "przy okazji", a więc bezpłatna. "Niewodnik" jest to większa łódź transportowa z dużym wiosłem do sterowania z tyłu, i z osmioną wiosłami z boków.

W Parabielu było już sporo ludzi oczekujących na wyjazd statkiem. Koczowaliśmy tam kilka dni pod gołym niebem, na własnych rzeczach powieszonych w tobołki. Matka kilkakrotnie chodziła tam do polskiego Męża Zaufania, w sprawach związanych z wyjazdem. Mężem "zaufania" była wówczas pani Szmitzielska, a jej współpracownicą w tym biurze była Ewa Rybałtowska.

Reszcie statkiem dotarliśmy do Nowosybirsku. Tam koczowaliśmy znova pod wiatą na dworcu ze dwa tygodnie. Matka stale chodziła do Delegatury po wiadomości co do naszych dalszych losów. Otrzymywała tam pomoc w postaci żywności i ubrań /jakieś reszeczki/. /Tu nasuwa się uwaga, że jeżeli był to rok 1943, to raczej nie działała już Delegatura Rządu; latem 1943 placówki te zostały zlikwidowane; może działała już Związek Patriotów Polskich? Albo był to jednak rok 1942? CB/

Pamiętam ten dworzec w Nowosybirsku; było tam wielu zesłańców w sytuacji podobnej do naszej. Zapamiętałem, że nieopodal dworca mieściło się więzienie dla rosyjskich przestępców, bo słyszeliśmy stamtąd wulgarne okrzyki.

Z Nowosybirsku wyruszyliśmy do Stawropolskiego Kraju. Myślę że dotarliśmy tam już w 1943 r. Przypominam sobie, że matka często mówiła, iż powinniśmy byli jeszcze w Nowosybirsku zaczekać, nie spieszyć się, to mniej trudu byłoby znaleźć. Już po naszym przyjeździe do Stawropolskiego Kraju przyjeżdżali inni zesłańcy zorganizowani grupami.

I tak znaleźliśmy się na Kaukazie, w Stawropolskim Kraju, 13 km od stacji kolejowej Spicowka, w miejscowości Gorodok, koło wsi Kohulta- ale bez Babci, która pozostała na zawsze na Syberii.

Na Kaukazie dano nam jeść, i wypoczywaliśmy bez pracy dwa tygodnie! Później pracowaliśmy w sowchozie, ale warunki tu już

były lepsze, chociaż głodno było zawsze.

Przebywali tu z nami pp. Jastrzębscy, p. Pietrusińska z dziećmi, p. Maczuga z dziećmi, Krasnodębscy, Józef Szereszowiec, Jadwiga Tararuj, pp. Szarkowscy i Adamczukowie.

Na Syberii nie słyszeliśmy o żadnej szkole, nawet rosyjskiej, nie mówiąc o polskiej. Na Kaukazie szkołę polską zorganizowała Mama Pietrusińska, zesłana ziemianka. Uczeszczaliśmy do tej szkoły jeden rok.

W 1945 r., 3 maja wróciliśmy do Polski z "gościnniej" ziemi sowieckiej. Ojciec już był w domu! Uciekł z więzienia w Brześciu zaraz po bombardowaniu 22 czerwca 1941 r., i po tygodniu wrócił do domu.

Nie mamy żadnych dokumentów z tamtych czasów. Po przyjeździe do Polski Mama zebrała wszystkie te "szpargały", zapakowała do butelki i gdzieś zakopła. Chciała się tego pozbyć, jak jakiejś zarazy. Niestety, nie wiem, gdzie tego szukać.

Jak widać - nie wiele pamiętam z tamtych czasów. Żałuję, że nie żyje moja Mama. Po prostu za późno przyszła do nas ta "odwilż" - jeszcze trochę, a wszyscy Sybiracy wykruszyliby się.

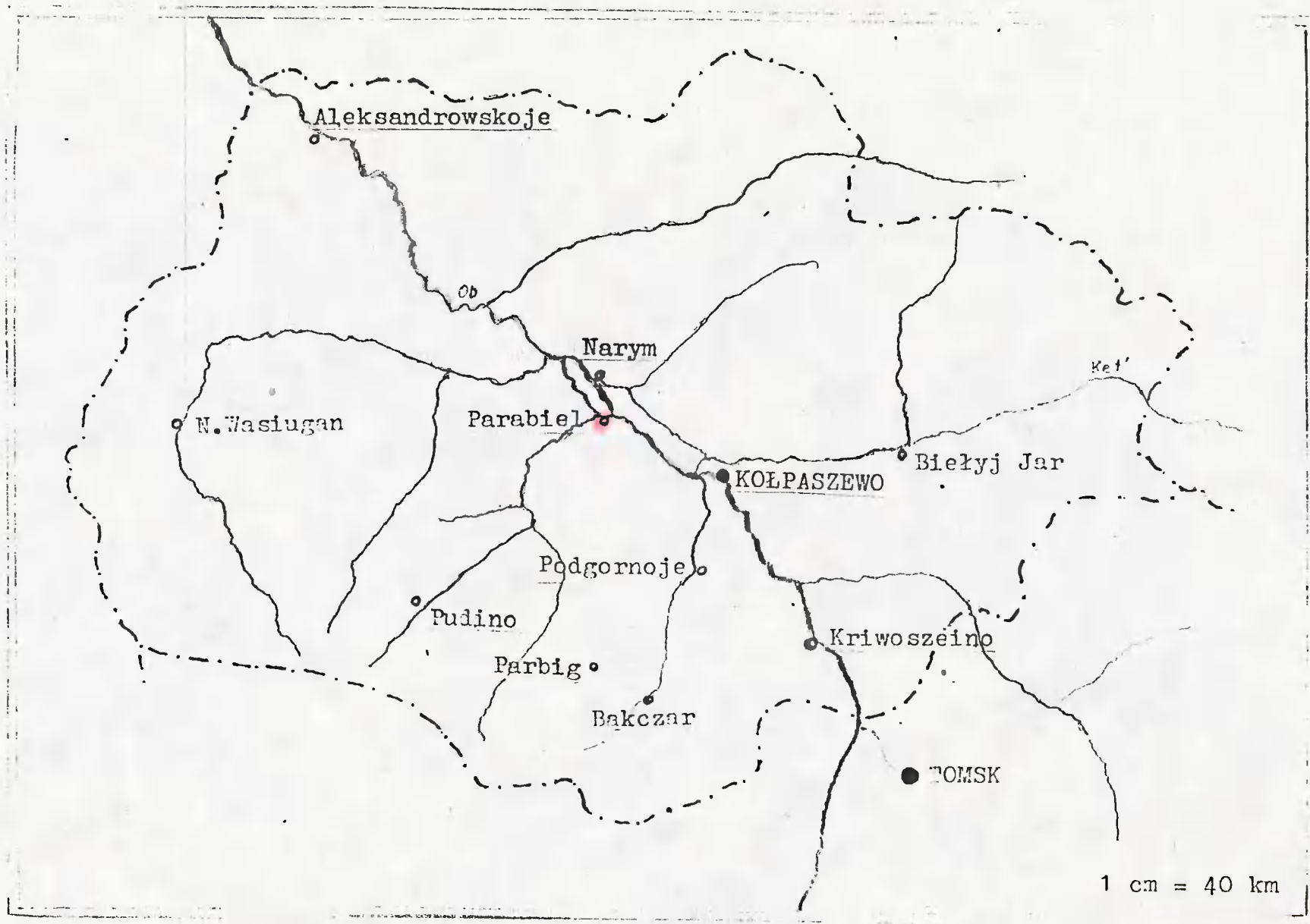
--- --- --- ---

Relacja została opracowana na podstawie odręcznych listów Czesława Kochańskiego datowanych między 8 maja a 1 lipca 1989 r. Ze względu na pogorszenie się stanu zdrowia, dalsze listy pisała już p. Teresa Kochańska, żona p. Czesława. A oto fragment z listu z 22.03.1990: "

" A propos wspomnień z zesłania. Naż nigdy nie chciałem mówić o tych czasach; niechętnie wspominałem lata pobytu u "przyjaciół". Jeśli wspominałem, to jakieś wasokie, śmieszne epizody czy momenty z życia na Syberii czy na Kaukazie, związane z pretami a nawet z okuliganstwem chłopaków, w gronie których się obracałem. Przypominałem dowcipne, a nawet sprośne powiedzonka i wierszyki rosyjskie. Wspominałem kolegów - rosyjskich konsonolców, którzy uczyli ich krasie i wesołości, aby można było przeżyć. Ciężkich przeżyć nie wspominałem...

Nigdy nie dał się namówić na wspomnienia, dopiero teraz... "

Czesław Kochański, ul. Ogrodowa 11 A/9, 17-300 Siemiatycze.

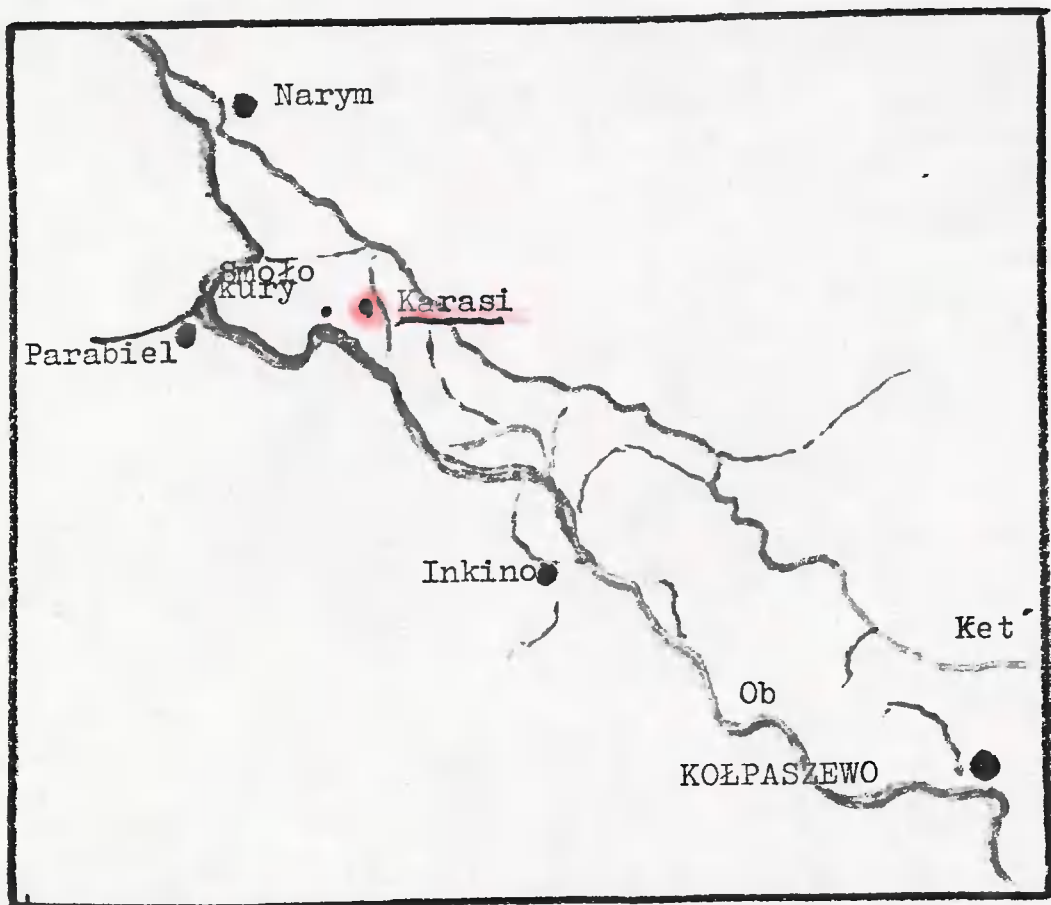


OKRĘG NARYMSKI



Trasa transportu 1941 — 1944 - - 1946 ...

1 cm = 300 km



Orientacyjne położenie Karasi.

1 cm = około 8 km